


W Y D Z I E D Z I C Z O N E



M I R O S Ł A W A

K A R E T A

G O R Z E J

U R O D Z O N A

MANDO 

I

Maj 1917

To była pierwsza wiosenna burza. Nadciągnęła nagle, ledwie zdążyliśmy zbiec z pola do domu. Niebo pociemniało, przez brzozywy zagajnik uderzany raz po raz silnymi podmuchami wiatru przebiegało spazmatyczne drżenie. Młode listki, ledwie rozwinięte, ciągle jeszcze w seledynowym odcieniu zieleni, trwożnie szumiały. Z drogi podniosły się tumany kurzu, w którym fruwały drobne gałązki i zeszłoroczne badyle. Wpadliśmy na ganek w ostatniej chwili, gdy na kamienne schodki i żwirowy podjazd spadły pierwsze krople deszczu.

– Dobrze, niech pada! Ziemia potrzebuje wody.

Ciocia Józia musiała oburącz trzymać swój słomkowy kapelusz, a i tak wiatr rozwiewał jej siwiejące włosy. Tylko ich kolor świadczył o jej wieku. Mimo że przekroczyła już pięćdziesiątkę, miała sylwetkę i ruchy młodej dziewczyny. Jej twarz, choć opalona, była ciągle jeszcze dość gładka, tylko w kącikach oczu pocięta delikatnymi zmarszczkami. Za to dłonie nosiły wyraźne ślady ciężkiej pracy, którą wykonywała przez całe życie. Zaledwie wczoraj skończyła sadić kartofle, teraz burza oderwała ją od pielienia ogrodu warzywnego z kiełkującego bujnie zielska. Staraliśmy się jej pomagać w miarę sił i możliwości, ale żadne z nas nie mogło jej dorównać ani szybkością, ani wytrwałością. Czasem odnosiłam wrażenie, że ona z tej ziemi

czierpie swoje żywotne siły, że kontakt z rolą – dla nas uciążliwy i często przykry – dla niej stanowi źródło energii.

Z oddali, z dołu wsi dochodziły okrzyki ludzi i ryczenie spędzanych z pastwiska krów. Deszcz padał coraz gęstszy, a na ołowianym niebie pojawiły się zygzaki błyskawic. Trzeba było szybko wejść do domu, pozamykać wszystkie drzwi i okna. W ciągu kilku minut wokół rozpętało się piekło.

Pamiętam ten dzień jak dziś, choć wiele burz widziałam i wcześniej, i potem. Staliśmy przy oknie, w którym płonęła gruba świeca, tuląc się do swojej opiekunki, jakby tylko ona mogła nam zapewnić bezpieczeństwo. Pioruny uderzały tak blisko i często, że nie było nawet sensu liczyć, uszy niemal bez przerwy mieliśmy pełne rozdzierającego huku i trzasku. Przez warstwy grubego materiału – fartucha, sukni i halki – czułam, jak ciocia Józia drży, szepcząc cicho *Pod Twoją obronę*. Mimo że chroniły nas murowane ściany, grube szyby i solidny dach, ona także nie czuła się pewnie.

– Boję się! A ty, ciociu? – zapytałam, chcąc przerwać tę pełną napięcia i oczekiwania ciszę, nieciszę. – Też się boisz burzy?

– O tak. Chociaż wiem, że nam nic nie grozi. Mamy odgromienie, ono ściąga pioruny do ziemi. Gorzej u innych, tam jak uderzy, będzie pożar.

Wieś rozciągającą się na zboczach góry nazywanej Pańską i w dolinie rzeki Sanki tworzyły wtedy drewniane, kryte strzechą chałupy, które mogły się zająć od byle iskry i spłonąć jak smolne pochodnie. Nigdy wcześniej nie widziałam pożaru, ale zdarzyło mi się już oglądać jego skutki w miejscowościach otaczających posiadłość moich rodziców. Było to straszliwe, przerażające widowisko.

Ciocia Józia miała podobne doświadczenia.

– To było czterdzieści lat temu, miałam wtedy mniej lat niż wy teraz. Piorun uderzył w drzewo niedaleko chałupy moich dziadków, tam gdzie mieszka ujec...

Zaczęła opowiadać, przejęta jak mała dziewczynka. Choć już dawno temu opuściła wieś i większość życia spędziła w mieście, w chwilach podniecenia zaczynała znowu mówić gwarą. Słuchaliśmy jej jak zaczarowani. Te opowieści z dzieciństwa i młodości od dawna bardzo nas zajmowały, rozpraszały nudę, łagodziły lęk i przygnębienie. Wojna trwała już czwarty rok, doświadczaliśmy wielu dotkliwych braków, a niekiedy nawet i głodu. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że mały sklepik ze starymi książkami, który stanowił źródło utrzymania całej rodziny, ma zostać sprzedany za długi. W tej trudnej rzeczywistości historie cici Józki były jak baśnie Andersena albo braci Grimm. Życiowe, pełne smutku, a niekiedy i okrucieństwa, ale też dające pewność zwycięstwa dobra nad złem oraz poczucie, że mimo wszystkich zawirowań we wszechświecie panuje odwieczny ład. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że za chwilę sami zostaniemy wciągnięci w zdarzenia jak z bajki.

Szczegóły jej własnej historii wyciągaliśmy z Józki z trudem, po kawałku, bo nie mówiła o sobie zbyt chętnie, jednak powrót do miejsca, w którym się urodziła, najwyraźniej rozwiązał jej język. Tym razem nie trzeba jej było namawiać, opowieść popłynęła sama, a była tak zajmująca, że nawet nie wiedzieliśmy, kiedy kanonada zelżała, a burza przesunęła się dalej na południe, w stronę Liszek i Czernichowa.

– W tym pożarze na szczęście nikt nie zginął, ale iskry poleciały na małą chatkę, w której mieszkał mój przyjaciel Antek i jego mama. Ogień zaczął się od strzechy, potem do środka zaczęła się sypać płonąca słoma i zajęło się drewno, wysuszone na wiór.

Ledwie zdążyli uciec. Trwało to tylko chwilę, podczas której stracili wszystko, co mieli...

Zamyśliła się i choć na zewnątrz zaczęło się przecierać, na jej twarzy pojawił się jakiś cień. Dopiero nasze pytania wyrwały ją z niewesołych wspomnień.

– Chałupa babki i wszystkie zabudowania wyszły z pożaru bez szwanku. Spłonęła tylko stara grusza, która rosła na podwórzu i rodziła zawsze takie słodkie, soczyste owoce. Wszystkim nam bardzo szkoda było tego drzewa, ale wobec tragedii sąsiadów nikt o tym nawet słowem nie wspomniał... Moja babka, nie wiem czemu, z sentymentu chyba, nie pozwoliła wyciąć pnia i stał tam potem jeszcze przez długie lata taki czarny, przepalony kikut...

Umilkła, ale tym razem nie była to zaduma nad tym, co dawno minęło. Plecy jej się wyprostowały, oczy otworzyły szeroko. Wpatrywała się w okno, nie widząc ani ulewy, jaka się teraz rozpoczęła na dobre, ani nawet stojącej na parapecie gromnicy, z której spływały grube krople wosku. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, potem oszołomienia, wreszcie – radości. Przycisnęła dłoń do ust, ale mimo tej zasłony doszły nas szeptane w podnieceniu słowa:

– Grusza! Ło Matko Bosko Skalsko, dzięki ci! Grusza! Ze tys jo przedzi na to nie wpadło!

Pół godziny później, gdy rzęsy deszcz zamienił się w lekki kapuśniaczek, a ponad chmurami zaczęły się pojawiać pasma błękitu, siedzieliśmy wszyscy na wozie, a ciocia Józia na koźle popędzała siwka, wprawdzie bardziej słowem niż batem, ale i tak – jak na siebie – dość brutalnie. Zawadiacko objechaliśmy dwór i skręciliśmy do Skątek, gdzie stała chałupa jej dziadków. Nie zwracając uwagi na pytania zdumionych domowników, Józia podkasła długą suknię

i pobiegła w kąt podwórza zarośnięty krzakami malin dopiero co wybijającymi się z ziemi.

– Tutok! – Pokazała palcem miejsce, w którym między świeżym zielskiem i pędami malin widać było jeszcze resztki pnia. – Dajcie łopatę, tutok trza kopać!

Zebraliśmy się wokół niej w kilkanaście osób, wszyscy mieszkańcy starej chałupy i my. Patrzyliśmy, jak ostrze szpadla zagłębia się w wilgotną po ulewie ziemię, jak otwór staje się coraz większy. Potem kopali też inni, obchodząc stary pień dookoła, przecinając korzenie, spróchniałe już i kruche, niszcząc coraz bardziej malinisko. Wreszcie w chwili, gdy łopatę dzierżył „ujec”, metal uderzył o coś twardego, co nie poddało się ostrzu jak resztki spalonej gruszy, ale stawiało opór. Jeszcze kilka ruchów i usłyszeliśmy metaliczny zgrzyt...

Wszyscy wstrzymali oddech, podczas gdy Józia i jej przyrodni brat odsonili, a potem wydobyli z ziemi niewielką okutą skrzynkę. Była zamknięta na klucz, ale podważenie i oderwanie wieka trwało tylko chwilę. Oniemiali ze zdumienia patrzyliśmy, jak wyciągają ze środka płócienny woreczek, rozwiązują go i opróżniają... Na trawę u naszych stóp posypały się srebrne monety.



Ciocia Józia była zwykłą wiejską dziewczyną. W pewnym sensie została nią do końca życia. Choć pracowała w zamożnych mieszczkańskich domach, nigdy nie stała się mieszczańką. Była modelką uwiecznioną przez Witolda Pruszkowskiego na jednym z jego najgłośniejszych obrazów. Przyjaźniła się z młodymi artystami, którzy za dnia zgłębiali tajniki sztuki w salach i korytarzach Szkoły Sztuk

Pięknych, a wieczorami szukali zgoła innych rozrywek w krakowskich zaułkach. Poznała Adama Chmielowskiego w czasach, gdy przybrał już habit i imię brata Alberta, a także pierwsze albertynki, jego współpracownicy z Podlasia. Od kiedy dostała posadę u starożytnego antykwariusza przy ulicy Szpitalnej, obracała się w kręgach demokratów, stałych bywalców małego sklepiku. Z prostej służącej sędziwego pana Wawrzyńca stała się kobietą interesu, jak byśmy ją nazwali w dzisiejszym języku. A to jeszcze nie wszystko!

Zapukałam do jej drzwi w listopadzie 1914 roku, gdy była już właścicielką antykwariatu i głową siedmioosobowej rodziny. Wcześniej widziałyśmy się dwa razy, ale były to spotkania bolesne, pełne emocji, łez i żalu. Wprawdzie w niczym nie zawiniłam, ale czułam, że historia rodzinna w jakimś stopniu obciąża i mnie, rzutuje na moje relacje z osobą, która była moją ciotką, a której praktycznie nie znałam. Zapewne nigdy bym się nie zdecydowała szukać u niej pomocy, gdyby nie okoliczności. Miałam piętnaście lat i wydawało mi się, że jestem już dorosła i zawsze sobie poradzę. Wtedy jednak, być może po raz pierwszy w życiu, znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Byłam całkowicie bezsilna, opuszczona i pozbawiona opieki w groźnym, chaotycznym świecie, który właśnie wypadł z utartych torów i w obłądnie pędził przed siebie ku samozagładzie.

Od kilku miesięcy trwała wojna, która już wkrótce zyskała nazwę „wielkiej”. Rosjanie parli na Kraków od północy, południa i wschodu, Lwów był pod okupacją, Przemyśl po raz drugi oblężony, a twierdzę pod Wawelem czekał ten sam los. Jeszcze we wrześniu moi rodzice nie bardzo wierzyli, że sprawy mogą przybrać aż tak fatalny obrót. Nawet nie pomyśleli o wyjeździe, planowali na Boże Narodzenie ślub mojej starszej siostry i kompletowali jej wyprawę. Mocno mnie to nudziło, a nie będąc ośrodkiem ich zainteresowania,

czułam się zaniedbana i dawałam im to boleśnie odczuć. Po wielu naleganiach pozwolili mi więc wrócić ze wsi do Krakowa i zamieszkać u rodziny szkolnej przyjaciółki. To mi się podobało! Poczułam się wreszcie niezależna.

– Tylko nie zapominaj o rękawiczkach i nie waż się czesać inaczej niż w warkocze! – ostrzegła mnie surowo matka, dobrze znając moje upodobanie do eksperymentów.

Tataś jednak uszczypnął mnie w policzek i po cichu wsunął w dłoń zwinięty banknot.

– Kup sobie ładną wstążkę albo cukierki – szepnął tak, by go mama nie usłyszała. – I ciesz się życiem, małeńka, bo żadna chwila nie zdarza się drugi raz!

Nikt z nas nie wiedział wtedy, że przemijają nie tylko chwile. Na naszych oczach kończyła się bezpowrotnie cała epoka, lecz my tego jeszcze wówczas nie potrafiliśmy dostrzec.

Lekcje rozpoczęły się wprawdzie 11 września, ale już po czterech dniach wyszły pierwsze zarządzenia ewakuacyjne i w rezultacie w gimnazjum pozostało tylko dwadzieścia uczennic. Ponieważ internat był zamknięty, rodzice Anielki zgodzili się, bym na razie pozostała u nich. W październiku władze wojskowe zaczęły jednak usuwać z Krakowa i okolic osoby bez prawa pobytu, a jednocześnie coraz natarczywiej zachęcać stałych mieszkańców do dobrowolnego opuszczania *Festung Krakau*. Jak wiele innych prywatnych budynków zajęto też naszą szkołę i zamieniono ją na kancelarię sztabu generalnego wojsk pruskich. W kilku salach, które nam pozostawiono, pod opieką pani Karoliny Ringlerówny nie zajmowałyśmy się nauką, ale szyciem bielizny dla legionistów. Moi rodzice zaczęli już wówczas słać listy wzywające mnie do natychmiastowego powrotu. Rodzice Anielki też się zastanawiali, co dalej

począć. Pozostanie w mieście wymagałoby zgromadzenia zapasów żywności dla wszystkich domowników na co najmniej trzy miesiące, tymczasem sklepy świeciły pustymi półkami, a wokół szerzył się coraz większy chaos. Pociągi ciągle jeszcze przywoziły uciekinierów ze wschodu, ludzie poszukiwali swoich rodzin przez inseraty w gazetach i ogłoszenia rozlepiane na słupach, w budynkach publicznych otwierano szpitale dla rannych żołnierzy, których przybywało z dnia na dzień. Na dworcach – osobowym i towarowym – panował taki ścisk, że trudno się było dostać do kasy. Ruch na ulicach przyległych do stacji kolejowych porównywano z ruchem ulicznym w największych europejskich metropoliach. Najzamożniejsi obywatele, przyzwyczajeni do prywatnych powozów i podróży pierwszą klasą, teraz zmuszeni byli wybierać się w drogę do Pragi czy Wiednia w wagonie przeznaczonym do przewożenia „czterdziestu żołnierzy lub sześciu koni” i byli szczęśliwi, że się tam w ogóle dostali. Potem presja wyjazdowa nieco zelżała, a część wysiedlonych wróciła do Krakowa. Przejściowe sukcesy c.k. armii też zrobiły swoje – odzyskano z rąk Rosjan Rzeszów, Rozwadów, Łańcut i Jarosław, ostre walki toczono w Karpatach, odebrano między innymi Czerniowce na Bukowinie. Tylko tym – i trochę również swoją wrodzoną przekorą oraz wynikającą z zazdrości chęcią dokużenia rodzicom i siostrze – mogę tłumaczyć fakt, że nie wróciłam w porę do rodzinnego domu na wsi, ale pozostałam w Krakowie aż do listopada. Wówczas to zaszło kilka rzeczy naraz i niewiele brakowało, a cała przygoda zakończyłaby się dla mnie tragicznie.

Przed wszystkim Rosjanie, mimo wybuchu wojny z Turcją, nabrali nagle wiatru w żagle i armia austro-węgierska została zmuszona do odwrotu na wszystkich odcinkach frontu w Galicji. Prezydent Leo wyjechał do Wiednia, rozwiązano Radę Miasta, a władza

przeszła w ręce komisarza rządowego. Komenda twierdzy wydała kolejny nakaz ewakuacji i po domach zaczęły chodzić wojskowo-cywilne komisje sprawdzające, czy mieszkańcy są odpowiednio „zaprowiantowani”, a tych, którzy nie byli, przymusowo wysiedlano. W tej sytuacji rodzina Anielki postanowiła jednak wyjechać. Ja zaś otrzymałam wiadomość, że rodzice i siostra – pod wpływem wieści o nadciągających Rosjanach, a trochę też pod naciskiem narzeczonego Róży dysponującego wówczas samochodem – błyskawicznie podjęli decyzję, spakowali się, opuścili wieś i wyjechali do Pragi, gdzie zaradny ów młodzieniec wynajął mieszkanie. Następnego dnia miał po mnie przyjechać stary Michał, sługa jeszcze mojego świętej pamięci dziadka. Brał on udział w postaniu styczniowym i jako jedyny stwierdził, że mu „Moskale niestraszni”, a wręcz miałby ochotę jeszcze przed śmiercią jednemu czy drugiemu porachować kości.

– Pan Józef po Syberii to może i się zmienili, może i zobaczyli w nich braci, ale mnie tam każdy Moskal za jedno warty! – zwykł mamrotać pod nosem, gdy nie zgadzał się z dziadkiem, głoszącym jak na owe czasy bardzo odważne poglądy. – Ja tam dobrze pamiętam, jak krew tryskała spod kozackich szabli! Do śmierci nie zapomnę jęku konających, których oni tratali końmi...

Z upodobaniem snuł gawędy o powstańczych przygodach, w przeciwieństwie do swego pana, który o tym etapie życia niechętnie wspominał. Uwielbiałam wraz z siostrą słuchać tych opowieści, mocno zapewne podkoloryzowanych, ale przez to jeszcze bardziej pasjonujących. Kochałam za to starego Michała niemal tak jak własnego dziadka.

Kierując się zatem wskazówkami z listu, spakowałam swoje rzeczy i umówionego dnia wsiadłam do dorożki, by spotkać się z nim na dworcu. Razem mieliśmy się udać w dalszą podróż, już

pociągiem. W tym samym czasie rodzina Anielki kończyła swoje przygotowania do wyjazdu. Nikt nie pomyślał o tym, co mam zrobić, gdyby ten plan się nie powiódł... a tak się właśnie stało. Wiele godzin czekałam na stacji kolejowej, potrącana przez podróżnych, narażona na zaczepki gawiedzi, coraz bardziej głodna, spragniona i przestraszona. Stary służący nie pojawił się ani tego, ani następnego dnia. Nie będę opisywać lęku, jaki czułam o niego i o siebie, ani też szczegółów swojej wędrówki przez opustoszałe miasto, które wprawdzie „opróżniono” z obywateli, ale pozostawiono w nim całą rzeszę żebraków i włóczęgów. Mieszkanie zaprzyjaźnionej rodziny, w którym spędziłam ostatnie tygodnie, zastałam wieczorem zamknięte na głucho i tylko dobroci żony stróża oraz banknotowi podarowanemu mi przez ojca zawdzięczam, że miałam gdzie spędzić noc. Następnego dnia jednak po wielu godzinach bezowocnego oczekiwania byłam u kresu wytrzymałości. Osłabłam z głodu, drżały mi ręce i nogi, tylko z najwyższym trudem mogłam jeszcze unieść kuferek. Wiedziałam, że ani do stróżówki, ani do siedziby szkoły przy ulicy Franciszkańskiej z tym ciężarem dojść już nie zdołam. I wtedy pomyślałam o niej. O wąskim i ciasnym sklepiku przy ulicy Szpitalnej, blisko dworca kolejowego, w zasięgu moich sił.

Dotarłam tam, choć po drodze mroczki przesuwwały mi się przed oczami, a palce, zaciśnięte na skórzanym uchwycie bagażu, drętwiały z bólu i zimna. Antykwariat był jednak zamknięty. Zdjęta rozpaczą, zaczęłam łomotać w lakierowane drewno zasłaniające okno wystawowe i drzwi. W ten sposób wywabiłam z bramy stróża.

– Kogo szukacie, panienko? – zapytał, przyglądając mi się najpierw nieufnie, a potem z rosnącym współczuciem.

– Pani Józefy – wykrztusiłam przez łzy. – To moja ciocia! Gdzie jest, czy wyjechała?

– Nie wyjechała – powiedział, a ja z wrażenia aż usiadłam na kufrze, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa. – Mieszka tu obok, dwa domy dalej. Ciocia? To chyba pójdę ją sprowadzić, bo widzi mi się, że panience słabo...

Mogła nie przyjść. Odpowiedzieć mu, że nie ma żadnej krewnej w tym wieku, że to jakaś oszustka. A mimo to kilka minut później pojawiła się obok mnie na chodniku, bardzo zdziwiona, może nawet przestraszona, ale mimo to silna i zdecydowana przyjmując odpowiedzialność.

– Chodź, dziecko. Chyba bardzo zmarzłaś.

Objęła mnie opiekuńczo za ramiona i zaprowadziła do mieszkania przy ulicy św. Tomasza, pełnego dzieci w różnym wieku, właściwie już młodzieży, oraz ksiązek. Nagle znalazłam się w innym świecie: cichym, bezpiecznym, ciągle jeszcze w miarę dostatnim.

Michał nie skontaktował się z nami, mimo że zostawiłyśmy wiadomość na dworcu i dałyśmy ogłoszenie do gazety. Nie dotarł też do Pragi. Do dziś zadaję sobie pytanie, co się z nim stało, i jedyne odpowiedzi, jaka przychodzi mi do głowy, to ta, że sędziwy sługa musiał po drodze z jakichś powodów zakończyć swój żywot. Gdyby było inaczej, na pewno wcześniej czy później by mnie odnalazł. Był on jedyną osobą dysponującą nowym adresem mojej rodziny. Bez niego nie mogłam ich powiadomić o tym, że żyję i nic mi nie grozi.

W ciągu następnych dni nikogo już nie wpuszczano i nie wypuszczano z miasta. Przez Kraków odbywały się tylko przemarsze wojsk i przejeżdżały transporty rannych. Zamknięto też banki i urzędy, sklepy spożywcze i gospodarce, hotele, szynki i gospody. Niebawem w oddali dały się słyszeć pierwsze strzały, potem zaś huknęły armaty austriackie na przedpolach twierdzy, od których

zatrzęsły się szyby w oknach. Na ulicach pojawiły się patrole straży obywatelskiej, mające chronić opustoszałe mieszkania przed rabunkiem, a także ratować zabytki i dzieła sztuki przed zniszczeniem w wypadku oblężenia.

– Cywile niech lepiej pozostają w domach – usłyszeliśmy od wyjątkowo życzliwego żandarma w czasie jednej z naszych wypraw na dworzec w poszukiwaniu starego Michała lub jakiegoś śladu po nim. – Czasy takie, że i od swoich można ucierpieć i wylądować w turmie...

Inni nie byli tak uprzejmi i raz nawet grupa wojskowych zagroziła nam aresztowaniem. Siedzieliśmy zatem zamknięci w domu, nasłuchując coraz bliższych odgłosów walk. Mimo ciągłego niepokoju, a nawet zagrożenia, mimo oddzielenia od rodziny i niepewności, czy ją jeszcze kiedyś zobaczę, czułam się tam jak w bajce. Wszystko to za sprawą książek, które aż po sufit wypełniały wysokie regały nie tylko w sklepiku, ale i w mieszkaniu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to mój żywioł, rzecz potrzebna mi do istnienia jak powietrze, woda i chleb. Poczułam tylko, że nagle znalazłam się w innej rzeczywistości. Już wcześniej, podczas naszego drugiego spotkania z Józią, na krótką chwilę miałam okazję wciągnąć w płuca ten zapach, dotknąć opuszkami grzbietów, przebiec oczami po tytułach na najbliższych półkach. Teraz mogłam w tym świecie pozostać na dłużej. Jak się okazało z biegiem czasu, nawet na zawsze.

Miejsce oczywiście się zmieniło. Nie ma już starego antykwariatu, a w kamienicy przy św. Tomasza, w której mieszkała wtedy Józia z rodziną, działa teraz hotel. Zniknęły też stare chałupy w podkrakowskiej wsi, zastąpione domami murowanymi z cegły bądź pustaka, krytymi dachówką lub blachą. Pozostały jednak zbiory

starych książek, upchnięte w moim M-3 na jednym z nowych krakowskich osiedli. Nie wszystko oczywiście udało mi się zachować, to, co się nie zmieściło w dwóch pokojach z kuchnią, oddałam bibliotekom. Tym samym, w których spędziłam pół wieku, od lat dwudziestych, gdy zaczęłam studia polonistyczne, aż po początek lat siedemdziesiątych, gdy przeszłam na emeryturę. Przekroczyłam bowiem już dawno ten moment, gdy zaczyna się człowieka obdarzać przymiotnikiem „stary”. Mam za sobą nie jedną, ale dwie wojny i zmianę ustroju, która przeorała resztki dawnego świata. Mimo to, a może właśnie dlatego, wracam chętnie pamięcią do tamtych zamierzchłych czasów i do osoby, która jak nikt inny ukształtowała moją osobowość.

To właśnie za sprawą cioci Józki – dziewczyny ze wsi, która do dwunastego roku życia nie umiała się nawet podpisać! – odkryłam moc drukowanego słowa. Jej zawdzięczam swoją miłość do książek i to, kim teraz jestem – historykiem literatury, wprawdzie emerytowanym, ale nadal zagrzebanym po uszy w opasłych tomach starych powieści i w zakurzonych stosach czasopism. Wierzę, że ta spuścizna pomoże mi napisać moją własną powieść, a raczej opowieść. Bo będzie to gawęda – długa, snująca się powoli, przeplatana fragmentami innych historii, ukrytych dotąd w bibliotekach i archiwach, nie dla każdego dostępnych. Aby ją czytać, trzeba mieć czas i cierpliwość, a więc to, czego obecnie coraz bardziej ludziom brakuje. Ale ta opowieść musi być taka, jakie było życie w minionym wieku, zanim jeszcze zmienił je na zawsze wybuch wielkiej wojny. Będzie to opowieść o kobiecie, która nie poddała się ograniczeniom tej epoki, ale potrafiła – nie tyle walką i upominaniem się o swoje prawa, ile wytrwałością, cierpliwością i wewnętrzną siłą – osiągnąć to, co nie wszystkim się udaje. Spełnienie.

Umierała w domu siostr albertynek z poczuciem, że zrobiła wszystko, co do niej należało. Do końca też twierdziła, że miała szczęśliwe życie. Wiem, że wiele w nim było dramatów, cierpienia i upokorzeń, zadaję więc sobie pytanie, na ile ta cicha radość, którą promieniowała, wynikała z jej natury i wrodzonej pogody ducha, a na ile była świadomym wyborem. Wydaje mi się bowiem, że w pewnym momencie – być może po spotkaniu z Bratem Albertem w najciemniejszej godzinie jej młodości, gdy bliska była śmierci – moja ciocia po prostu przyjęła taką filozofię życia, sprowadzając się do wdzięczności Bogu za każdy dzień i za najmniejszą nawet dobrą rzecz, jaka się jej przydarza.

Zacznijmy jednak od początku, od jej dzieciństwa, a więc lat, które znam tylko z opowieści, starych książek i gazet.

W CIENIU MNIKOWSKICH SKAŁ

Urodziła się w Mnikowie w 1864 roku. Był to smutny rok, rok upadku powstania styczniowego. Dziesięć dni wcześniej na stokach Cytadeli Warszawskiej stracono Romualda Traugutta.

– Irenko, a kto tam u nas, na wsi w Galicji, wiedział o Traugucie?! – powiedziałyby ciocia na taki początek jej historii i zapewne miałyby rację.

Galicja i Lodomeria – tak nazywało się „królestwo”, w którym przyszła na świat. Rządziła nim z Wiednia dynastia Habsburgów. Stolicą był Lwów, miasto odebrane Rzeczypospolitej już w pierwszym zaborze. Warszawa była stolicą Królestwa Polskiego, zwanego też Kongresowym, pozostającego w unii personalnej z Rosją. To tam wybuchło, wypaliło się i zgasło powstanie styczniowe. Mników zaś, klasztorna wieś położona na Garbie Tenczyńskim

pod Krakowem, małeńki punkcik w najdalej na zachód wysuniętym skrawku Galicji, był jednym z miejsc koncentracji ochotników z zaboru austriackiego. Przez kordon – sztuczną granicę rozrywającą polskie ziemie wbrew ich historycznym, gospodarczym i kulturowym związkom – szli stamtąd do Olkusza, Miechowa i Kielc, tak niedalekich, ale położonych już w Kongresówce. Wielu nie wróciło nigdy, inni odnajdywali się dopiero po latach zesłańczej tułaczki.

Mieszkańcy zaboru austriackiego też mocno przeżyli wybuch, a potem odpokutowali klęskę tego narodowego zrywu. Życie jednak musiało toczyć się dalej, z Trauguttem czy bez, w radości czy w żałobie, z nadzieją lub we łzach. Zwłaszcza na wsi, gdzie jego rytm dyktowały zmiany pór roku i następujące po sobie kolejno prace rolnicze. Gdyby ich nie wykonano, zagrożone byłoby istnienie narodu na najbardziej podstawowym, biologicznym poziomie. Gdyby ich zaniechano, ludziom groziłaby śmierć głodowa.

Sama Józia w rozmowach z nami zaczynała swoje *curriculum vitae* w powszechnie przyjęty sposób:

– Przyszłam na świat piętnastego sierpnia, w samo Wniebowzięcie. Wielu na wsi w ogóle nie znało swojej daty urodzenia, bo w księgach parafialnych zapisywano często tylko datę chrztu. Dzień, w którym ja się urodziłam, zapamiętano jednak dobrze, nie tylko ze względu na święto. Właśnie wtedy niedaleko Mnikowa, na przeprawie przez Wisłę w Czernichowie doszło do tragedii, w której zginęło ponad sto osób!

Znacznie później, w starych numerach „Czasu”, który jej pryncypał, mimo całej swojej postępowości, w tajemnicy przed wszystkimi czytywał i gromadził na zapleczu antykwariatu, ciocia trafiła na informację o tym zdarzeniu. Zdziwiona, że te poźółkłe papierzyska

mają tyle lat co i ona, wycięła interesujący ją fragment i wkleiła do swojego kalendarza. Tam zaś znalazłam go ja.

Wracając z Kalwaryi Zebrzydowskiej z odpustu na Wniebowzięcie, gromady pobożnych ze wsi okręgu krakowskiego po lewej stronie Krakowa leżących nie zwykły iść na Kraków, lecz najprostszą drogą zdążają ku Wiśle i przeprawiają się na tamtejszy brzeg pod Czernichowem, gdzie stały jest przewóz. Tak było i wczoraj. Aby wielką liczbę osób na raz przeprowadzić przez rzekę, która właśnie tego wieczora nagle wezbrała, użyto nie zwykłego promu przewozowego mogącego pomieścić kilkadziesiąt osób, lecz krypy, na którą ładuje się zwykle 600 korcy pszenicy. Na krypę tę wsiadło na prawym brzegu Wisły z jakie 300 włóścian obojey płci, tudzież Żyd dzierżawca przewozu z wódką dla szynkowania jej podczas przeprawy. Była godzina 8 wieczór. Wioślarze podobno pijani, nie dosyć umieli oprzeć się silnemu prądowi wody, takież zamiast do zwykłej przystani, wpadli na galar stojący na tutejszym brzegu poniżej przewozu i tak silnie weń uderzyli, że krypa napełniona ludźmi rozbiła się. Część krypy załamała się wraz z ludźmi, a druga część poszła z wodą. Za temi rozbitkami puszczono się galarem, z których prawie wszystkich wyratowano, lecz z tych, co wpadli do Wisły zaraz po przełamaniu się krypy, część tylko zdołała się ocalić lub ocaloną została*...

Jeszcze wiele lat później starzy ludzie w Czernichowie, Kaszowie, Czułówku i Nowej Wsi wymieniaли nazwiska osób, które wtedy

* Pochodzenie wszystkich cytatów zob. Bibliografia, s. 363. Pisownia oryginalna.

zginęły. Ale czas zaciera wszystko, nawet ludzkie wspomnienia. Teraz już nikt nie pamięta o tamtej katastrofie, a i ja przypominałam sobie o niej tylko dlatego, że znalazłam wycinek w kalendarzu cioci.

Ciekawa rzecz ten jej „kalendarz”. Zawsze tak mówiła, choć właściwie tylko z początku były to kalendarze, potem zaś już cała kolekcja zeszytów. Pierwszy dostała od pani, u której zaczęła służbę jako siedemnastoletnia dziewczyna. Pod jej dyktando bardzo jeszcze niewyrobioną ręką kaligrafowała w nim swoje obowiązki, zasady dobrego wychowania, wskazówki dotyczące gospodarstwa domowego i modlitwy.

– Potem sama oszczędzałam, żeby raz w roku kupić sobie *Józefa Czecha Kalendarz krakowski*. Pięknie wydany, w tłoczonej oprawie, ze wszystkimi przydatnymi informacjami, których obywatel podwawelskiego grodu mógłby potrzebować. Była to oznaka przynależności, a także statusu – opowiadała po latach z mieszaniną dumy i autoironii.

Na wolnych stronach oraz marginesach notowała tam najważniejsze wydarzenia, wpisywała krótkie wiersze i sentencje, które jej przypadły do gustu. Z biegiem czasu jej zapiski robiły się coraz obszerniejsze i by je pomieścić, potrzebowała zeszytów. Początkowo były to kajeciki skromne, szare, w cienkich okładkach, potem coraz piękniejsze, grubsze, z lepszego papieru, oprawne w lakierowaną tekturę. Prócz sporządzania odręcznych notatek zaczęła też wklejać wycinki z gazet i czasopism, opatrując je – z upływem lat coraz częściej – własnymi komentarzami. Tak jakby wiek, zdobywana wiedza i doświadczenie, a także wpływ postępowych idei, do których miała dostęp dzięki pracy u pana Wawrzyńca, dodawały jej śmiałości w wyrażaniu własnych myśli i przekonań.

To, do czego doszła i kim się stała, zawdzięczała sobie i kilku dobrym ludziom, którzy w decydujących momentach życia pojawili

się na jej drodze. Na pewno środowisko, z jakiego się wywodziła, nie umacniało jej poczucia wartości i pewności siebie. W chwili narodzin nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł jej wróżyć ani wielkiego szczęścia w życiu, ani bogactwa, ani sukcesu. Wręcz przeciwnie, od samego początku była naznaczona hańbą mającą się za nią ciągnąć przez trzy pokolenia. Tak w każdym razie myśleli wszyscy, którzy asystowali jej przyjściu na świat.

Mniej więcej w tym samym czasie bowiem, gdy na przeprawie w Czernichowie trwała akcja ratunkowa, jakieś półtorej mili dalej na północ, w rodzicielskiej chałupie w Skałkach w Mnikowie Hanka Lipianka rodziła swoje pierwsze, nieślubne dziecko. Mimo pomocy wiejskiej akuszerki trwało to bardzo długo i dopiero późno w noc zdesperowana „znajonco babka” mocnym naciskiem przedramienia wypchnęła z jej brzucha małą dziewczynkę. Z żadnym innym dzieckiem nie namęczyła się Hanka tak bardzo, a miała ich potem jeszcze co najmniej pięcioro. Jakieś trzy lata po urodzeniu córki wyszła za mąż za znacznie starszego od siebie Jakuba Sochę, gospodarza z mnikowskiego przysiółka Nowsie, byłego wojskowego austriackiej armii, i została Hanką Sosyną. Józia mieszkała przy nich, ale ojczym nigdy nie uznał jej za swoją. Nosiła zatem panieńskie nazwisko matki, Lipianka, a we wsi wołano na nią „bąk”.



Wprawdzie katastrofy promu Józia siłą rzeczy nie mogła pamiętać, ale jej najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa też się wiązało z Kalwarią Zebrzydowską. Przez długie lata nie była nawet pewna, czy to nie dziecięca fantazja wymalowała jej ten idylliczny obrazek. Nie zapamiętała bowiem ani przeprawy przez Wisłę,

ani kolorowych tłumów, ani obdartych dziadów proszalnych, ani nawet białej trumienki, do której wszyscy ciągnęli, by znaleźć się jak najbliżej leżącej w niej figury Matki Boskiej. Utkwił jej za to w pamięci jakiś piękny ogród pełen kwiatów i drzew owocowych, blask słońca i smak konfitur, którymi ją częstowano. Także Hanka, pięknie ubrana w strój mnikowski – białą bluzkę z czarnym atłasowym gorsetem i koralami, marszczoną czarną spódnicę w zielone i czerwone kwiaty, biały fartuch obrębiony koronką i czarne trzewiki zapinane na guziczki.

– Siedziałyśmy przy drewnianym stole, mama tuliła mnie i uśmiechała się, ale pod ławką jej stopa w odświętnym buciku podrygiwała nerwowo. Widziałam to doskonale, nachylona ku ziemi, wyrrywająca się, by na własnych nogach spenetrować tę nową, zachwycającą przestrzeń. Nie rozumiałam jej niepokoju. Było mi dobrze jak nigdy potem, bo w tamtej chwili ona należała tylko do mnie. Nigdy więcej już tego tak mocno nie doświadczyłam – mówiła ze smutkiem, gdy wypytywałam ją o szczegóły tego wspomnienia.

Pewnie ta bliskość i czułość między nimi w dawnych czasach zdarzały się częściej, nim jeszcze Hanka wydała się za męża, urodziła kolejne dzieci i zatraciła się w natłoku gospodarskich obowiązków. Ale Józsi pozostało tylko to jedno wspomnienie na otarcie łez zawsze potem, gdy brakowało jej otwartych ramion, uwagi i miłości Sosyny.

Czy malutkie dziecko może zapamiętać jakieś wydarzenie tak dokładnie, ze szczegółami? Najwyraźniej tak. Moja ciocia była zawsze pewna, choć sama nie wiedziała skąd, że to się działo w Kalwarii Zebrzydowskiej. Ale gdy pytała o to Hankę – najczęściej dwa dni przed Wniebowzięciem, gdy grupy pielgrzymów wychodziły ze wsi, a Józia, pełna zazdrości, odprowadzała ich aż za Bożą Mękę – matka nie chciała o tym mówić i zbywała ją pod byle pretekstem. Sama

zresztą nigdy więcej nie poszła z kompanią do Kalwarii ani w sierpniu po żniwach na Pogrzeb, ani nawet wiosną po siewach na Mękę. Zawsze zajęta była kolejnymi dziećmi i pracą. Ledwie znajdowała czas, by się do tej najstarszej, z nieprawego łóża urodzonej córki w ogóle odezwać. Józia przestała więc pytać.

– Jakiś czas potem uprosiłam jednak babkę i zgodziła się mnie zabrać ze sobą do Kalwarii. Było to wielkie przeżycie! Mało się wtedy nie zgubiłam w ciżbie ludzi, jakiej jeszcze nigdy nie widziałam ani na jarmarku w Liskach, ani na odpuszcie w Morawicy. Także miasteczko uczyniło na mnie ogromne wrażenie, wszystkie te murowane domy, brukowany rynek, kościół tak wielki, że sufit zdawał się dotykać nieba, dróżki z pięknymi kapliczkami...

Najbardziej jednak zależało jej na odkryciu tego rajskiego ogrodu, który nosiła schowany głęboko w zakamarkach pamięci. Ale choć rozglądała się pilnie podczas drogi w obie strony i już na miejscu, choć wyciągała szyję, by sięgnąć wzrokiem ponad płoty, nie udało jej się go odnaleźć. Uznała wreszcie, że było to jakieś dziecięce urojenie, figiel spleatany przez zbyt bujną wyobraźnię i niezaspokojone pragnienia. Z biegiem czasu przestała sobie zaprzętać tym głowę. Dopiero po wielu, wielu latach zrozumiała, że było inaczej.

– Nie wiem, jak to się stało – opowiadała mi rozemocjonowana, ciągle przejęta tym swoim odkryciem – ale jakimś cudem zachowałam w pamięci jedną z tych chwil, które miały potem zaważyć na całym moim życiu.



I w Mnikowie było zresztą miejsce cudownej urody, które – zwłaszcza na wiosnę i latem – ściągało ludzi z Krakowa i dalej położonych

stron. Mowa o malowniczym wąwozie skał wapiennych, przeciętych korytem rzeki Sanki. Zachwycały oko swym kształtem i barwą, a na jednej z nich, w pobliżu wejścia do jaskini zwanej Grotą, widniał wielki, wymalowany w czasie powstania styczniowego obraz Matki Boskiej – Polonii. Dno doliny i zbocza porastały tylko trawa i kwiaty, tworząc podłoże, na którym przybysze z miasta z wielkim upodobaniem rozkładali kosze pełne prowiantów.

Nadciągali zwykle od strony Rudawy, gdzie była najbliższa stacja kolejowa. Śmiejąc się głośno i beztrosko, grając na mandolinach i śpiewając popularne pieśni, jechali w dorożkach, brekach lub nawet na umajonych wozach strażackich, dużo rzadziej na chłopskich furmankach i linijkach wypożyczonych w okolicznych dworach. Często była to szkolna młodzież, czasem studenci, nierzadko wielopokoleniowe rodziny z dziećmi. Dzierżawca mnikowskiego folwarku pan Felicjan Szybalski bardzo chętnie przywoził tu swoich licznych gości, w tym „malarie”, jak żartobliwie nazywano we dworze zaprzyjaźnionych malarzy. Ale zdarzały się i reprezentacyjne powozy, a w nich towarzystwo dużo bardziej dystyngowane, dostojne i poważne. Matrony, ubrane przeważnie w czerń, nie siadały na trawie, ale ustawiano dla nich krzesła i fotele. Panowie z siwymi wypomadowanymi wąsami nie wspinali się na skałki, tylko obserwowali je z dołu, przytykając do oczu oprawną w drewno i złoto podwójną lunetę, urządzenie, którego nazwy ani przeznaczenia Józia wówczas nie znała. Ich obecność nie dziwiła miejscowych. Nie takich gości w końcu tu widywano! Ciągle jeszcze opowiadano sobie w chałupach o królu, który spotykał się w Dolince Mnikowskiej ze swoją kochanką, a przybywał na te schadzki zawsze karetą zaprzęzoną w trzy pary koni. Cóż zatem mogły znaczyć współczesne landa, gigi i faetony, choć bez wątpienia piękne, błyszczące

lakierowanym drewnem, drogimi obiciami i wspaniałą uprzężą, wobec królewskiej karocy?

Wszyscy ci przybysze zresztą – czy to ucząca się młodzież, artyści, arystokracja czy nawet sam król – byli dla wiejskich dzieci tak samo obcy i egzotyczni, jakby przyjechali z innego świata. Ubierali się inaczej, jedli i pili inne rzeczy, a zachowywali się co najmniej dziwnie, piszcząc i skacząc przy grze w serso lub w piłkę, siedząc godzinami beczynn timer na kocu, na odkrytym dla wszystkich widoku, albo stojąc przy sztalugach z pędzlem w dłoni i nieprzytomnym spojrzeniem utkwionym w horyzont.

– Nieraz biegliśmy z Antkiem na skałki, by podglądać gości z miasta – wspominała Józia.

Bo i było na co patrzeć: na niemowlęta w zwiewnych koronkach, dzieci w lakierowanych bucikach i białych pończoszkach, panie w pastelowych długich sukniach z wielkimi, wypiętymi kuprami, noszące na głowach kunsztowne fryzury i okazałe kapelusze, a w rękach – okrytych aż po łokcie rękawiczkami – jedwabne parasolki dla dodatkowej ochrony przed słońcem. Wielokrotnie owe damy, same lub za pośrednictwem towarzyszących im panów w jasnych ubraniach i śmiesznie wysokich kapeluszach, próbowały zagadywać do kryjących się za skałkami włościańskich dzieci, częstować je cukierkami lub herbatnikami. Mimo to Józia i jej rówieśnicy z powodu wyniesionej z domu nieufności oraz lęku nie podchodzili za blisko. Dopiero gdy po gościach umilkło w oddali ostatnie echo, uważnie przeszukiwali murawę, znajdując czasem jakiś cenny skarb: zgubioną wstążkę, haftowaną chusteczkę, kiść winogron czy butelkę z resztką słodkiego napoju.

Zdarzali się też samotnicy, którzy do doliny przyjeżdżali konno, spędzali tam jakiś czas, błędząc cicho jak duchy między skałami,

a potem znikali tak samo szybko i nagle, jak się pojawili. Po nich nie zostawały żadne ślady... Choć nie, przepraszam, ślady były, tylko że dla miejscowych chłopów, zamkniętych we własnym świecie, właściwie niezauważalne. Dopiero znacznie później, przeglądając książki w antykwariacie pana Wawrzyńca, Józia odkryła, że o Dolinie Mnikowskiej wspomniano w większości krakowskich bedekerów, polecając ją uwadze turystów.

Na Józii największe wrażenie ten dziki zakątek robił zawsze nocą. Dziewczynka często wymykała się do wąwozu ze swoim przyjacielem Antkiem, pól sierotą, który mieszkał z matką nieopodal chałupy Lipów. Kładli się w gęstej trawie, bacząc na to, by nie trafić na oset albo jeszcze gorzej – na „krówską kupę”, choć to ostatnie akurat rzadko się zdarzało, bo krowie placki podeschnięte na słońcu zbierało się na opał, więc nie leżały bodaj gdzie. Na leżąc gapili się w niebo i odnajdywali na nim setki gwiazd. W młodości mojej cioci nie było Małej i Wielkiej Niedźwiedzicy, Korony Północy czy Oriona. Na czarnogranatowym tle można było za to wskazać Kosy, Baby i Furmana z Wozem.

– Ludzie na wsi mówili, że co kosiarze skoszą, a baby zgrabią, to furman na swój wóz ładuje. W Gody zaś wiezie to niebieskie sianko dla nowo narodzonego Pana Jezuska... – wspominała Józia z nostalgicznym uśmiechem. – Były też widoczne gwiazdy Męki Pańskiej: młotki, gwoździe, sznury, drabina, włócznia, nawet korona cierniowa i Krzyż Przenajświętszy. A przy dobrej pogodzie na czystym, bezchmurnym niebie rozciągała się nie Droga Mleczna, ale szeroki gościniec, którym Matka Boska przechodziła z Częstochowy na Kalwarię.

Wraz z Antkiem znali te wszystkie historie, bo od wczesnego dzieciństwa opowiadał je im Szymon Lipa, dziadek Józii. Zawsze

jednak czekali na to najciekawsze, co się działo niespodziewanie, co łatwo było przegapić – czekali, aż spadnie gwiazda. Za każdym razem, gdy czerń nieba przecinał jaskrawy błysk, zrywali się z ziemi z radosnym okrzykiem. Każda spadająca gwiazda, jak mówiła babka Józci, stara Lipina, to przecież była ludzka dusza, która po długich cierpieniach uwalnia się z czyśćca. Dzieci żegnały ją machaniem, szczęśliwe, że odchodzi do rajów.

Potem, gdy Józcia trochę urosła, coraz częściej bywała tam sama. Wyciągała ręce i wyobrażała sobie, że gwiazdy to drogocenne kamienie przyszyte do ciemnego aksamitu, a ona je odrywa, zbiera delikatnie jak owoce z gałązki i chowa do zapaski. Myślała, jak to będzie cudownie, gdy przybiegnie do chałupy z takim skarbem, wysypie go przed matką i powie: „To dla ciebie, żebyś już nigdy nie musiała tak ciężko pracować! Będiesz teraz żyła jak księżniczka, już zawsze będziesz opływać w dostatki!”

Skały wapienne, za dnia białe i malownicze, nocą piętrzą się wysoko, ciemne i złowrogie jak wielkoludy pochylające się nad marnym ludzkim okruszkiem, gotowe porwać go w swe potężne łapy, unieść wysoko i cisnąć nim o ziemię. Zawsze, gdy już narwała pełną zapaskę gwiazd i chciała ze swym skarbem wrócić do matki, kształty tych skał przywodziły jej na myśl Jakuba Sochę, wielkiego i groźnego, górującego nad nią i nad jej matką, z zębami obnażonymi pod ciemnym wąsem i złym błyskiem w oczach. Zrywała się wtedy z miękkiej trawy i uciekała co sił w nogach wzdłuż szemrzącego cicho potoku, rozpuszczając zapaskę i gubiąc te swoje wymagane perły i klejnoty. Dysząc ciężko, niemal płacząc ze strachu, dopadała chałupy Lipów w Skałkach i tam zostawała na noc, byle tylko nie wracać „do łojców” na Nowosie.